MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 39. WARSZAWA, 16 SIERPNIA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

U ŹRÓDEŁ KRYZYSU GOSPODARCZEGO

DO NAJPOWAŻNIEJSZYCH zagadnień chwili obecnej należy zagadnienie światowego kryzysu gospodarczego, przyczyn, jakie go wywołały i środków, któreby mogły go zakończyć, a przynajmniej osłabić jego zgubny wpływ. Zagadnienie to należy nietylko do najpoważniejszych chwili dzisiejszej, ale również do zagadnień najtrudniejszych i najbardziej skomplikowanych. Źródło bowiem dzisiejszego kryzysu tkwi nie w jednej takiej czy innej przyczynie, ale w całym splocie najrozmaitszych, częstokroć między sobą równorzędnych przyczyn.

Zastanawiając się nad niemi nie sposób jest pominąć te przesunięcia w strukturze gospodarczej świata, jakie, po wojnie światowej, zepchnęły Europę z jej dominującego stanowiska w świecie, a na które po raz pierwszy wskazał Dmowski. Pierwszym objawem tego jest bardzo silny wzrost produkcji krajów pozaeuropejskich. Według danych statystycznych obecnie dostępnych jest rzeczą niemożliwą określenie ogólnej produkcji wszechświatowej. Częściowym jednak wyrazem będą obliczenia dla surowców i środków żywności. Według nr. 2 czasopisma *„Wirtschaftsdienst"* produkcja surowców i środków żywności wzrasta w roku 1928 w stosunku do roku 1913 w Europie bez Rosji tylko o 12%, gdy w tym samym okresie czasu wzrasta ona w Ameryce Północnej o 35%, w Ameryce Środkowej o 58%, w Ameryce południowej o 56%, w Afryce o 52% i w Azji (bez Rosji) o 24%. Również charakterystyczny jest spadek udziału Europy we wszechświatowej produkcji poszczególnych towarów. Wystarczy tytułem przykładu przytoczyć parę ważniejszych produktów: I tak udział Europy w produkcji wszechświatowej cukru wynosił w latach 1909/13 — 42%, w latach 1929/30 — 31%, w produkcji papieru w 1913 r. — 52%, w 1928 r. — 42%, w produkcji stali 1913 r. — 56%, w 1929 r. — 49%, w produkcji miedzi w 1913 r. — 19%, w 1928 r. — 9%, w produkcji cynku w 1913 r. — 67%, 1928 r. — 48%.

Obok wstrzymania się rozwoju produkcji drugim charakterystycznym faktem jest zatrzymanie się wzrostu eksportu wielkich krajów przemysłowych Europy do krajów zamorskich. Na pierwszy rzut twierdzenie to wydaje się mylnem: eksport bowiem angielski do 13 krajów zamorskich w okrągłych cyfrach wynosił w 1913 r. — 278 miljonow f. szt., w 1928 r. — 404 milj. f. szt., eksport zaś niemiecki do 10 krajów zamorskich wynosił w 1913 r.—1900 miljonów marek, w 1928 r. — 2294 miljony marek, jeśli jednak wziąć pod uwagę wzrost cen wszystkich towarów, który w roku 1928 wynosił w stosunku do roku 1913 — 40%, to widzimy, że eksport angielski wzrósł jedynie nieznacznie, natomiast eksport niemiecki poważnie spadł.

Przytoczone przez nas, zresztą ze względu na rozmiar artykułu nieliczne cyfry, świadczą wymownie o tem, że niesłychanie szybki rozwój gospodarczy Europy, a zwłaszcza wielkich krajów przemysłowych, jaki miał miejsce od połowy XIX wieku aż do czasu wielkiej wojny, został po wojnie zahamowany, a pod pewnemi względami można już w tej chwili zanotować pewne, może jeszcze nieznaczne, cofnięcie się wstecz. Żeby zrozumieć rozmiar katastrofy, z której dotąd ludzie nie zdają sobie całkowicie sprawy, a jaką stanowi już nie zahamowanie, ale nawet cofanie się wstecz, w stosunku do przed wojennego rozwoju, trzeba dobrze zrozumieć stan gospodarczy Europy Zachodniej przed wojną, trzeba sobie zdać sprawę z tego niesłychanie szybkiego wzrostu bogactwa, który z jednej strony pozwalał na wzmożenie potrzeb ludzkich i na podniesienie stopy życiowej, z drugiej strony na szybki wzrost ludności. Gdy po wojnie rozwój ten został całkowicie powstrzymany, wielkie kraje przemysłowe Europy Zachodniej, których cała struktura społeczna i gospodarcza znalazła się w stanie nienormalnym, weszły w kryzys, który trwa do dziś dnia, zwłaszcza, że cały szereg czynników pozagospodarczych, o których nie sposób mówić w niniejszym artykule, przyczyniało się do znacznego pogłębienia

niedomagań, na które od czasów wojny cierpią owe kraje.

Najjaskrawszym tego przejawem jest bezrobocie. Wystarczy przypomnieć, że w Anglji od 1921 r. ilość bezrobotnych jest stale wyższa od miljona, w Niemczech w roku bieżącym ilość bezrobotnych prawie osięgała 5 miljonów. Bezrobocie dawało się tym dotkliwiej odczuwać, że w okresie powojennym wchodziły w życie zawodowe roczniki przedwojenne o bardzo dużej liczebności.

Za parę lat jednak będziemy mieli już do czynienia z rocznikami wojennemi i powojennemi, o wiele mniej licznemi. Wpłynie to na odciążenie rynku pracy i może złagodzić nieco kryzys gospodarczy. Z drugiej jednak strony należy się spodziewać dalszego pogłębienia się kryzysu w Europie, wywołanego przez dalszy rozwój gospodarczy krajów zamorskich i zmniejszeniem się eksportu europejskiego do tych krajów. Wreszcie zahamowany wzrost ludności w krajach europejskich, o którem mowa była wyżej, doprowadzi do politycznego osłabienia Europy, co również odbije się ujemnie i na sytuacji gospodarczej tej części świata.

Osłabienie gospodarcze Europy trwa już od czasów wojny. Jeśli jednak bliżej przyjrzeć się temu okresowi w życiu gospodarczem, to musimy dojść do wniosku, że widzimy w nim podobnie, jak w okresie przedwojennym, pewne wahania konjunkturalne.

Jest bowiem cechą charakterystyczną nowoczesnego ustroju kapitalistycznego stale powtarzające się przechodzenie życia gospodarczego z okresów wysokiej konjunktury, w których działalność gospodarcza się wzmaga, do okresu kryzysu gospodarczego, gdy tętno życia gospodarczego zamiera. Źródłem takiego falowania w życiu gospodarczem jest przedewszystkiem to, że w okresach wysokiej konjuntury wzrost produkcji jest znacznie szybszy od wzrostu konsumpcji, co musi doprowadzić do nadprodukcji. Wystarczy wtedy nieznacznego załamania się gry na zwyżkę, jaka odbywa się na wielką skalę w okresie wysokiej konjunktury, by pociągnąć za sobą zachwianie powszechnego zaufania i doprowadzić do kryzysu.

Takim momentem przełomowym, jeśli chodzi o kryzys obecny, był wielki krach giełdowy, jaki miał miejsce w Stanach Zjednoczonych. Nie może on oczywiście być uważany mimo swych rozmiarów za źródło obecnego kryzysu. Przyczyny jego przedewszystkiem leżą w nadprodukcji, jaka nastąpiła w uprzednim okresie wysokiej konjunktury, to jest w tem, co normalnie wywołuje kryzys we współczesnym ustroju kapitalistycznym. Różnica jednak pomiędzy kryzysami, jakie wstrząsały życiem gospodarczem przed wojną, a kryzysem obecnym polega na tem, że o ile przed wojną życie gospodarcze, nawiedzane przez kryzysy, było zdrowe, stale, mimo przerwy wywoływanej przez kolejne kryzysy, idące naprzód w szybkiem tempie, o tyle obecnie gospodarstwa narodowe Europy, które jeszcze w chwili obecnej stanowią znaczną część gospodarstwa światowego, są w stanie przewlekłej choroby, w okresie stałego, może jeszcze powolnego kurczenia się; kryzys, który nastąpił w takim okresie, musiał w Europie przybrać formy o wiele ostrzejsze niż normalnie, co z kolei rzeczy odbiło się na całem gospodarstwie światowem.

A do zaostrzenia się kryzysu ponad miarę normalną przyczynił się jeszcze fakt inny. Jest nim mianowicie kryzys rolniczy.

Wyraża się on przedewszystkiem w zachwianiu się równowagi pomiędzy cenami płodów rolnych, a kosztami ich produkcji, wywołanej bardzo silnym spadkiem ceny zbóż. Spadek ten został wywołany dwoma czynnikami. Z jednej strony produkcja zboża wzrosła szybciej, niż liczba ludności. Wzrost ludności w latach 1925/29 wynosi w stosunku do lat 1900/13 — 13%, gdy wzrost produkcji pszenicy, tego najważniejszego ziemiopłodu, wynosi 17%. Wzrost produkcji pszenicy nastąpił przedewszystkiem w krajach zamorskich, a więc przedewszystkiem w Kanadzie (o 118%), w Stanach Zjednoczonych (o 19%), w Argentynie (o 65%) i w Australji (o 50%). Przyczyny jego szukać należy w mechanizacji rolnictwa, która pozwoliła na rozszerzenie produkcji tej na tereny, na których dotychczas się ona nieopłacała. Z drugiej zaś strony widzimy spadek konsumpcji zboża na głowę. Wynosiła ona w latach 1909/10 do 1913/14—przeciętnie 65,9 klg., a w latach 1925/26 do 1928/30 — 63,2 klg. Przyczyną tego jest zmiana w odżywianiu się, polegająca na częściowem zastąpieniu konsumpcji zboża przez konsumpcję jarzyn, mięsa i nabiału. Taki zaś równoczesny wzrost produkcji, szybszy od wzrostu ludności, i spadek konsumpcji na głowę ludności musiał doprowadzić do spadku cen na zboże, a w dalszych konsekwencjach, również do spadku cen innych produktów rolnych.

Widzimy więc, że trzema głównemi przyczynami kryzysu są: rozpoczynający się upadek Europy, wielki kryzys rolny, wywołany nadprodukcją zboża oraz normalna faza niskiej konjunktury, powtarzająca się, jak wiadomo, stale w gospodarstwie kapitalistycznem. Najtrwalszą przyczyną jest niechybnie przyczyna pierwsza. Upadek znaczenia Europy w świecie jest zjawiskiem przewlekłem, które może da się osłabić, ale, wątpić należy, by całkowicie dało się mu zapobiedz. Kryzys zbożowy, aczkolwiek nie jest zjawiskiem tak przewlekłem, również szybko się zlikwidować nie da. Natomiast zjawiskiem przemijającem jest kolejna, dziś trwająca, niska faza konjunktury, aczkolwiek może być ona dłuższa, niż normalnie. Przebieg bowiem poszczególnych faz konjunktur odbywa się normalnie wtedy, gdy w szerokim zakresie istnieje przy dużej swobodzie współzawodnictwo. Dziś więc, gdy ingerencja państwa w życie gospodarcze sięga bardzo daleko, gdy zwłaszcza w przemyśle istnieje daleko posunięta reglementacja cen towarów i kosztów ich produkcji, gdy środki sztucznego popierania tych czy innych poczynań gospodarczych są bardzo rozpowszechnione, trudno mówić o swobodnym rozwoju życia gospodarczego, odbywającego się pod znakiem automatycznego regulowania popytu i podaży. Pod wpływem zahamowania tego normalnego funkcjonowania gospodarstwa kapitalistycznego, kryzys dzisiejszy, nawet w tym zakresie, w którym jest kryzysem konjunkturalnym, musi się przedłużyć, gdyż gospodarstwo światowe straciło swą elastyczność, jaką posiadało przy kompletnem panowaniu zasad liberalizmu gospodarczego. Lecz trzeba pamiętać, że nawet wtedy, gdy pod wpływem polepszającej się konjunktury, sytuacja gospodarcza się nieco polepszy, pozostanie przewlekły kryzys strukturalny, na którego szybką likwidacją niema zupełnie nadziei. Okres najbliższy będzie dla narodów europejskich okresem ciężkim, z którego potrafią one wyjść zwycięsko jedynie wtedy, gdy zdobędą się na najwyższy wysiłek i na najwyższe ofiary, do jakich są zdolne.

J. PRUS

POWRÓT RZYMIAN

...Czem więc była Wielka Wojna?[1]) Poza nonsensami, drukowanemi w gazetach, mamy, ogólnie biorąc, cztery zasadnicze teorje, teorje, wykazujące pewien sens historyczny. Z tych czterech teoryj ja jestem zwolennikiem czwartej. Wiem, że jest ona najrzadziej uznawana i najmniej rozumiana. Gotów jestem jednak dowieść, że jest ona jedyną, która wiąże z jakimś sensem to wszystko, co istotnie miało miejsce.

Pierwsza z tych interpretacyj wysuwa rywalizację pomiędzy Imperjum Brytyjskiem a Imperjum Niemieckiem. Oczywiście, jest w tem pewna doza prawdy. Przez pewien czas istniał między pruskim i brytyjskim systemem jakiś szał imitacji, ostra zawziętość wzajemnego podziwu. Była tak zupełna zgodność, że każdy bystrzejszy obserwator wiedział, iż skończy się to niezgodą. Anglja znajdowała się w fazie chełpienia się swojem Imperjum, a Niemcy w fazie zazdrości o takie Imperjum. Oba państwa były zgodne w tem, że posiadanie pewnego rodzaju kolonij, pewnego rodzaju handlu, pewnego rodzaju potęgi morskiej są to rzeczy godne pozazdroszczenia. Istniała jeszcze inna strona wzajemnego schlebiania, które doprowadziło do wzajemnej furji. Wspomnę o niej niebawem. Należy jednak uświadomić sobie, że równolegle z całą arogancją Prus płynął pewien prąd dziwnego, barbarzyńskiego podziwu dla nowoczesnego imperjalizmu Wielkiej Brytanji. Przeciętny Niemiec godził swą arogancję z owym podziwem przy pomocy głupiej, bakalarskiej bajki o rasie teutońskiej. Anglik i Niemiec to dwaj bracia; jak Kain i Abel. To była teorja wyjaśniająca pierwotne pasje Wojny. Pomijając te antropologiczne groteski o teutonizmie, dobrze jest zauważyć, że Prusy miały oddawna pęd do imitacji. Fryderyk Wielki był królem na sposób francuski, mimo że był pruskim szlachciurą. Cały jego plan pałacu, obozu i miasta był francuskiej marki; nawet nie często mówił on po niemiecku. Podobnie jak Fryderyk bił się z Francuzami z gorzkiego podziwu nad ich armją, tak Wilhelm bił się z Anglikami z gorzkiego podziwu nad ich flotą. W obydwóch wypadkach lokalną ambicję rozpalała jakaś obca moda. Ulubionym autorem Wilhelma II był Kipling, taksamo właśnie, jak ulubionym autorem Fryderyka II był Voltaire. Świat stał się powoli coraz mniej międzynarodowym (aczkolwiek międzynarodowcy dąsają się, gdy się im to mówi) i dla Kaisera stało się niemożliwe zaproszenie Kiplinga, ażeby przybył i zamieszkał w jego pałacu, lub nawet tylko w jego królestwie, jak to zrobił Fryderyk z Voltairem. Lecz ten pierwiastek zaciekłego schlebiania, twardego i wrogiego plagjatyzmu, to musiało coś znaczyć. Z drugiej strony, zanim jeszcze zwykłego Niemca nauczono brać poważnie Imperjum Brytyjskie, to już równie zwyczajny Anglik był nauczony brać poważnie rasę germańską. We wszystkich szkołach i uniwersytetach uczono Anglików dumy z tego, że są Germanami; właściwie, przy użyciu wielu słów, pewną odmianą Sasów. Wszystko co niemieckie było podawane do nieustannej admiracji aż do chwili wybuchu wojny. Niektórzy z nas przypuszczali, że jeżeli Anglicy i Niemcy będą dalej tak podziwiać jedni drugich, to przyjdzie napewno wojna. Usiłowaliśmy nawet wprowadzić nieco różnic i rozbieżności w nadziei utrzymania pokoju. Próbowaliśmy wykazywać, że Anglicy i Prusacy są faktycznie dość oddaleni od siebie i mogą bardzo dobrze kroczyć swemi osobnemi drogami. Wykazywaliśmy, że nawet słabostka Anglika, mianowicie zbytnie ubóstwianie „*gentleman*'a“, odcina go ostro od północnego Niemca; gdyż arystokrata pruski nie jest wogóle *gentleman*'em w angielskiem rozumieniu. Jest on zasadniczo sztywny, skąpy i brutalny, zamiast być naturalnym, hojnym i opiekuńczym. Jest więc, delikatnie wskazywaliśmy, zasadnicza różnica nawet między narodem snobów i narodem poddanych. Tak łagodzącemi i pocieszającemi słowy usiłowaliśmy przekonać Anglików i Niemców, że wcale nie są tak strasznie do siebie podobni, żeby aż musieli wzajemnie się zabijać, że jest między nimi dostatecznie wiele kontrastów, aby mogli żyć obok siebie w pokoju. Lecz wszelkie tego rodzaju słabe zapewnienienia tonęły w ogłuszających uogólnieniach o Germańskiej rasie. Wszyscy w Anglji byli, jak się zdawało, gotowi uznać pierwszą, czyli angielsko-niemiecką teorję wojny; teorję rywalizacji. Rywalizacja bowiem jest walką między dwoma czynnikami nie dlatego, że są one różne, lecz dlatego, że są jednakowe.

Oddawszy wadze tej teorji, co jej się rozsądnie należy, przejdźmy do drugiej. Jest w niej również prawda, i myślę nawet, że z dwóch, ta jest prawdziwsza. W ogólnych zarysach jest ona następująca. Nie będąc rywalizacją dwóch rzeczy podobnych, wojna była nawrotem niekończącego się pojedynku między dwiema rzeczami głęboko różnemi, popularnie przedstawianemi przez słowa: Francja i Niemcy. Można słusznie powiedzieć, że są to jedyne dwie rzeczy w Europie, które nigdy nie były ze sobą w szczerej zgodzie i jedności. W Anglji powiedzianoby, że wojna była odgrywką za rok 1870. Byłoby to bardzo angielskie określenie, gdyż ta sportowa metafora zawiera jowialność, która nie jest niemiecką i frywolność wcale nie francuską. Po francusku należało to nazwać, tak nam przynajmniej zawsze mówiono, odwetem. I to byłby bardzo francuski sposób patrzenia na sprawę, ponieważ czynił on z niej coś gorszego, niż była w rzeczywistości. Francuz wykazuje zawsze ten rys zgorzknienia, zwracający się przeciwko niemu samemu, gotów jest powiedzieć, że pragnie odwetu, kiedy faktycznie szuka tylko sprawiedliwości. Gdyby Prusy pobiły nas i zabrały Yorkshire i Lancashire i przyłączyły do cesarstwa niemieckiego, to my nigdy nie osłabialibyśmy swej sprawy przez mówienie o „odwecie“. Jest w tym wypadku niezmienny zwyczaj Francuzów mówienia więcej o ich porażkach, niż o powodzeniach. Słusznie powiedziano o nich, że mają „wytrwałą pamięć klęsk, mniej pamiętają zwycięstwa“. Cała literatura francuska zaczyna się od pieśni o porażce, o klęsce Rolanda w pirenejskim wąwozie, i właśnie francuska sztuka wcale nie mniej niż inna, po setce świetnych zwycięstw Napoleona uwieczniła go w na-

[1]) Artykuł niniejszy jest przekładem tak zatytułowanego rozdziału niedawno wydanej książki G. K. Chestertona p. t. „Zmartwychwstanie Rzymu“.

szej pamięci jako rozbitą i zmarzniętą postać, cofającą się beznadziejnemi drogami z Moskwy. W tem, jak również w równoległej pasji do posądzania o zdradę, Francuzi stanowią zupełne przeciwieństwo do Anglików. Anglicy nie opłakują przegranych bitew dla tej dobrej przyczyny, że wiadomości o nich nie są do ogółu dopuszczane. Każdy Francuz wie dobrze, co znaczy Agincourt, Blenheim lub Lipsk. Długi poemat Wiktora Hugo nosi tytuł „Waterloo", a najzabawniejsza i najpopularniejsza piosenka, znana każdemu francuskiemu dziecku, wspomina o tem, jak to wielki książę Marlborough szedł na wojnę. Natomiast powiedzmy przy Angliku „Orlean", „Steenkirk", „Fontenoy", „Turcoing", „Toulon" i żaden błysk gniewu nie zapali się w jego oku, poprostu dlatego, że nigdy nie słyszał o tych angielskich klęskach. W tem znaczeniu prawdą jest, że tradycja „odwetu", czyli wyrównania dawnych krzywd, miała swój wpływ w zatargu europejskim i że Francuzi niewątpliwie odebraliby zagrabione prowincje francuskie, gdzieby tylko mogli; i całkiem słusznie. Według tej drugiej teorji dyplomacja francuska pracowała cierpliwie, inteligentnie i intensywnie w kierunku tego celu; powiodło się jej zawrzeć najpierw sojusz z Rosją, potem porozumienie z Anglją; i jeżeli faktyczny napadł wyszedł ze strony Niemiec, to nastąpił on jednak dopiero po tem, gdy Francji udało się okrążyć swego wroga. Teorja ta jest prawdziwa w tem znaczeniu, że ze wszystkich sprzymierzeńców Francja była prawdopodobnie najbardziej świadomą, skupioną i intelektualnie przekonaną; i ze wszystkich tych miljonów dzielnych ludzi, rozmaitych ras i wyznań, które zginęły w tej okropnej depopulacji, synowie Francji mieli najmniej wątpliwości, za co umierają.

Trzecia teorja jest bardziej oddalona i w pewnym sensie bardziej tajemnicza i ma tę jeszcze ciężką wadę, że nie ma nic wspólnego z nami. Według tej teorji my, ludzie Zachodu, Brytyjczycy, a nawet Francuzi, znajdowaliśmy się na skraju całej sprawy, prawie tak samo, jak ci ze Wschodu, Japończycy lub Sepoye. Centrum wojny znajdowało się w centrum. Obracała się ona dokoła mocarstw centralnych i pojęcia *„Mittel-Europa"*, lub innemi słowy, na wojennej granicy między Austrją i Rosją. Występowali Słowianie przeciwko Teutonom; specjalnie pan-slawizm przeciwko pan-germanizmowi. Dlatego też, można powiedzieć, cały interes zaczął się na Bałkanach. Dla tej przyczyny rozpoczął się od prowokacyjnego ultimatum Austrji do Serbji. Można być zdania, że dla tej też przyczyny cywilizowana i patrjotyczna Polska stała nieco na uboczu, z wątpliwościami; traktowana najlepiej w Austrji, najgorzej w Prusach. Polak jest najmniej Słowianinem ze Słowian, a w każdym razie jest ze Słowian najmniej pan-słowiańskim. Jest on patrjotą według zachodniego wzoru i więcej dba o narodowość, niż o rasę. Lecz na całej reszcie tego ogromnego kontynentu wewnętrznego istniały tylko niejasne i ściśle nie ograniczone obszary ras i religij, szczególnie religij. Mniej wyraźnie zarysowane, niż do tego jesteśmy na Zachodzie przyzwyczajeni, stały tam naprzeciw siebie dwie wielkie potęgi kultur. Na czele jednej z nich stał, biorąc ogólnie, Biały Car Wszechrosji, na czele drugiej Cesarz tego zlepionego cesarstwa, utrzymywanego w kupie przez Wiedeń; resztka Świętego Imperjum Rzymskiego, mająca jeszcze pretensje do korony Karola Wielkiego. Byłoby może przesadą nazwać to, jak gdyby zapożyczając z jakiejś stronicy Gibbona, wojną między Wschodnim i Zachodnim Cezarem. Jednak olbrzymią wagę w całej sprawie posiadał fakt, że miljony tych koczowniczych i beznarodowych ludów nie znały innej faktycznej różnicy, jak tylko ta, że jedni szli za bizantyjskim, drudzy za rzymskim obrządkiem. Jakkolwiekbądź, taka jest trzecia teorja i jest w niej, jak powiedziałem, coś tajemniczego i dla nas trudnego do oceny. Gdyż na wszystko, co łączy się z Rosją, a nawet z Nowym Rzymem Konstantyna, rzucone jest coś nikłego, lecz szerokiego, coś, co nie jest z nas — cień Azji.

Mogę wierzyć w wyjaśnienia nadnaturalne, lecz nie mogę przyjąć wyjaśnień naturalnych, które są nienaturalne. Mogę uznać cud, jeżeli jest dowiedziony, a czasem nawet, gdy nie jest dowiedziony, lecz nie mogę przyjąć zwykłego, codziennego zdarzenia, które powinno być dowiedzione, a nie jest nawet prawdopodobne. Mógłbym uwierzyć, że nieszczęsny arcyksiąże austrjacki, który był dobrym człowiekiem, miał widzenie Matki Boskiej rankiem w dniu morderstwa. Mógłbym nawet uwierzyć, że sędziwy cesarz Austrji w dniu wysyłania ultimatum do Serbji doznał szczególnej łaski ukazania się mu jego anioła-stróża, z ostrzeżeniem, żeby nie robił głupstwa. Lecz nie mogę z najmniejszą nawet dozą łatwości uwierzyć, że arcyksiąże włożył kapelusz na głowę i zapalił wielkie cygaro podczas słuchania Mszy św. Wiara opuszcza mnie również, gdy usiłuję sobie wyobrazić, jakoby czcigodny cesarz, przyjmując amerykańskiego ambasadora, chciał stanąć na głowie. Takie zdarzenia nie są cudami, leżą całkowicie w materjalnym porządku przyrody, nie zakłócają żadnej z zasad chemji; chyba tę tylko, że wywracanie koziołków jest dla osób wiekowych nie zdrowe — lecz to są zdarzenia, które się nie zdarzają. I w ten sam sposób nie wierzę i nie mogę uwierzyć, żeby cesarz Ausrji, chociaż nie wiem jak stary i źle informowany, mógł podpisać ultimatum do Serbji nie zdając sobie sprawy z tego, że przynajmniej w dwudziestu szansach przeciw jednej oznacza ono wojnę z Rosją. Nie wierzę, żeby on, lub jego doradcy, lub wogóle jakakolwiek ludzka istota mogła dokonać tak bezwzględnego wyzwania Słowian, nie zdając sobie sprawy, że wyzywa Cara Wszechrosji. Nie wierzę, żeby oni, lub jakakolwiek istota ludzka rzuciła wyzwanie Wszechrosji nie mając zupełnej pewności, że ten czyn będzie poparty przez ich sprzymierzeńców, Wszechniemcy. Narzucali oni Serbji wojnę, wojnę bez żadnej innej alternatywy. A narzucenie takiej wojny, przy niepewnym stanie pokoju w Europie, oznaczało dla ludzi przy zdrowych zmysłach branie na siebie całej odpowiedzialności za całą olbrzymią katastrofę, jaka istotnie też wynikła. Lecz jeżeli wzięliby na siebie nietylko odpowiedzialność przed Bogiem i ludźmi za wszczęcie wojny europejskiej, lecz i przed Austrją za rzucenie jej bez poparcia przeciw Rosji i całej Słowiańszczyźnie — to musieliby być nietylko ludźmi chorymi umysłowo, lecz wogóle nie ludźmi. Tedy więc, powołując się na wyżej wyłuszczoną zasadę, uchylam się od uwierzenia w to, że dwa lub trzy decydujące stanowiska polityczne w Wiedniu zajmowali wówczas, przez zwykły zbieg okoliczności i z całkiem naturalnych przyczyn, akurat dwaj lub trzej z pośród najwyraźniej ostrych i szalejących obłąkańców, jakich tylko można było znaleźć na całej planecie.

(Dok. nast.) GILBERT KEITH CHESTERTON

NIESAMOWITA POWIEŚĆ

(NA MARGINESIE „NIENASYCENIA" ST. J. WITKIEWICZA)

DOŚĆ dawno już przeczytałem „Nienaszycenie"[1]) i przyznam się, iż z pewnem zdziwieniem obserwuje stosunkowo małe zainteresowanie się krytyki tą powieścią. Nie znaczy to, żebym się tą książką zachwycał. Jest w niej mnóstwo ustępów, wywołujących istne obrzydzenie swą bezwstydną erotyką i swym cynizmem w ujmowaniu zjawisk życiowych. Jest też mnóstwo wyrażeń niedopuszczalnych już nie tylko w druku, ale nawet i w mowie, pomiędzy cywilizowanymi ludźmi i niedopuszczalnych nawet dzisiaj w Polsce, w dobie koprolalji, uświęconej przez enuncjacje sfer „miarodajnych". Są wreszcie ustępy zredagowane tak zawile i chaotycznie, że normalnemu człowiekowi trudno się w nich zorjentować. Ale jest pozatem coś, co pozostawia czytelnikowi poza niesmakiem i oburzeniem także pozytywne wrażenia: są dowody niezaprzeczalnego talentu autora. Niewątpliwie jest to książka nieprzeciętna i niewątpliwie zasługuje na zainteresowanie krytyki. Krytyka jednak zastosowała, zdaje się, do książki wypróbowaną zasadę austrjacką: *„tot schweigen"*. W tych warunkach ja, nie będąc krytykiem literackim, a jedynie skromnym czytelnikiem książek, interesującym się również współczesnością polską, pozwolę sobie, chociaż z pewnem opóźnieniem, zwrócić uwagę na ten wątek książki Witkiewicza, w którym najwidoczniej ta nasza polska współczesność rzuca długi, groźny cień na zagadnienia naszej przyszłości.

Jest to sprawu o tyle ciekawa, że dotąd właściwie polska „rzeczywista rzeczywistość" rzucała w literaturze refleksy głównie na polską p r z e s z ł o ś ć. Wiadomo, że pod wpływem aktualnych potrzeb naszej literatury wielki król Stefan Batory nabrał ostatnio „świeżych rumieńców życia" i stał się *sui generis* symbolem i prekursorem. Wiadomo również, że potrzeby chwili bieżącej zabarwiają nam specjalnie niedawne dzieje wielkiej wojny, o ile uwidoczniają się one w literaturze. A tylko patrzeć, jak powstanie jakiś dramat, czy jakaś powieść z aluzjami do teraźniejszości dokoła wątku „zamachu majowego z r. 1791", jak obecnie nazywają Konstytucję 3 maja...

Witkiewicz pierwszy podjął ten temat od innej strony. Zadał sobie pytanie, jak przedstawiają się dręczące nas dziś zagadnienia w perspektywie przyszłości, niezbyt odległej zresztą, jakiegoś schyłku XX w. Odpowiedź na te pytanie zawiera się właśnie w tym wątku, czy w warstwie jego utworu, którą nazwaćby można historyczną, gdyby ona nie tyczyła się czasów przyszłych. Zgóry trzeba powiedzieć, że wątek ten jest, jak cały utwór zresztą — czemś w rodzaju karykatury, ale karykatury narysowanej z ogromnym rozmachem i budzącej poważne reflekcje.

Autor wprowadza nas w „Nienasyceniu" w czasy, gdy Koalicja państw europejskich (zresztą bez udziału Polski, która ogłosiła w tej wojnie neutralność) zgniotła już wreszcie bolszewizm, ale wnet potem znieruchomiała w oczekiwaniu nowych groźnych przemian. Bo oto od strony Chin wyrasta „żółte niebezpieczeństwo" w postaci mas wojska, które chiński generał Wang, prowadzi na podbój Europy. Rosja, rządzona chwilowo przez „kontrrewolucyjnego" cara Kiryłę, została wnet opanowana przez ten nowy, żółty komunizm. Wojska gen. Cuxhavena cofają się w popłochu na polskie linje; jakiś czas bronią się jeszcze państewka buforowe, utworzone między Polską i Rosją, wnet jednak armja chińska zalewa Rumunję i — staje nieruchoma u wrót Polski. Cały świat ogląda się na Polskę, jako przedmurze Europy. A Polska rządzona nominalnie przez Syndykat Zbawienia Narodowego, w rzeczywistości zaś przez genjalnego generała — kwatermistrza Kocmołuchowicza, Polska — czeka!

„Kraj zamienił się w jedną olbrzymią poczekalnię, o tak szalonem napięciu potencjałów czekania, jakiego w historji dotąd nie notowano. Może zaledwie żydzi czekali tak Mesjasza, jak u nas wszyscy niewiadomo czego. Prócz zmechanizowanej do idjotyzmu pracy każdego obywatela w jego krążku działania, głównem zajęciem było tak zwane oczekiwanie samo w sobie — *„die Erwartnung an und für sich"*. Nawet Syndykat Zbawienia Narodowego raz na zawsze SZN („Stowarzyszenie Zająców Najtchórzliwszych" — jak mówiły cienie dawnych komunistów) funkcjonował automatycznie w niepojęty sposób, zdając wszystko ze strachu przed odpowiedzialnością, na przyszłe, niewiadome czyny Kocmołuchowicza. Ten zaś, tajemniczy jak nigdy, (nikt nie wiedział, po czyjej jest stronie i nikt nie śmiał go badać) — walił całą swą niesamowitą energję w organizację armji przygotowując ją do nieprzeczuwalnych dla nikogo czynów" (t. H, str. 6).

„Mimo wszelkich wysiłków coś zaczynało się burzyć od samych podstaw. Absolutna izolacja nie dawała się utrzymać nawet przy pomocy niebywałych ostrożności paszportowych i systematycznego fałszowania wiadomości w całej prasie, będącej tylko jednym wielkim, nieomal płciowym organem „Syndykatu Narodowego Zbawienia"... Prasa ujednolicona przez syndykat nie mogła się „prześcigać" w przesadnie natężonem urabianiu opinji przez rosnące stałe dzienniki, wedle doktryn danych partji — partje zanikły prawie — panowała powszechna zgoda. Jakaś bezbarwna, nudna masa zamierających widm, przelewała się z kąta w kąt niewiadomo poco. Ale samo dno, zupełnie spontanicznie, bez ingerencji sparaliżowanych centrów agitacji, zaczęło się zlekka wydymać i podnosić. Niektórzy, przywykli do prostych podstaw społeczeństwa, mieli chwilami wrażenie, że chodzą po trochę pochyłym, jakby bagnistym, czy też może, w bardzo szerokich amplitudach, falującym gruncie" (t. I, str. 129).

Wśród tego bezczynnego wyczekiwania wytwarzają się zwolna jakieś niepojęte fermenty w społeczeństwie, dokoła dzieją się jakieś tajemnicze rzeczy:

„Nieznacznie, podstępnie ciemne potęgi, gnilne bakterje społeczne, rozgniłały życie pod pozorami tężyzny... A więc: podobno Adam Ticonderoga, starszy brat Scampiego zginął z więzienia w stolicy. Uwolniło go trzech brodatych panów w cylindrach za sfałszowanym rozkazem. Papier jednak zdawał się pochodzić z biur kwatermistrzowstwa armji. Tu, jak zwykle (tak bajtlowały niemyte pyski) śledztwo odpadło, jak wilk od szyi psa z kolczastą obrożą — z kwikiem bólu. Kogoś potem bito w jakimś wychodku, na tyłach pewnego domu, w którym pewni ludzie odbywali sadystyczne orgje, przy pomocy pewnej specjalnej, pewno z Berlina, sprowadzonej maszyny. Ktoś z kimś miał pojedynek tajny (mówiono między najodważniejszymi, że sam kwatermistrz) wskutek czego podpułkownik Habdank Abdykiewicz — Abdykowski otruł się phymbiną w towarzystwie kochanki swej Nymfy Bydlaczek z kabatetu „Eufornikon" (t. II, str. 139).

„Rządził nominalnie Syndykat, ale niektórzy twierdzili, że słuszność miał psychjatra Bechmatjew, według słów

[1]) Stanisław Ignacy Witkiewicz „Nienasycenie". Powieść. Cz. I. Przebudzenie, str. 273, cz. II. Obłęd, str. 245. Warszawa 1930. Dom Książki Polskiej, S-ka Akc.

którego „proischodił procies psiewdomorfozy“ i że właściwe stanowiska zajęte były nie przez rzeczywistych członków Syndykatu, tylko przez postacie podstawione... Tworzył się powoli nowy tajny rząd pod maską obecnego, a prasa Syndykatu (zresztą prawie jedyna wogóle, jaka istniała) wmawiała wszystkim, że o zmianie gabinetu nie może być mowy, że wszystko jest w największym porządku: Nigdy nie było jeszcze takiej zgody między Sejmem a Rzadem jak obecnie, ponieważ na skutek kolosalnych sum zagranicznych, zużytych na wybory, sejm składał się prawie wyłącznie ze zwolenników Syndykatu, a zresztą stale znajdował się (na wszelki wypadek, dla wszelkiego bezpieczeństwa) na wakacjach, z czem się sam zupełnie zgadzał“ (t. II, str. 139, 141 i 142). „Nauczyły się więc milczeć największe nawet, zafajdane zwykle plotami gaduły i najbardziej śmierdzące, niemyte pyski“ (t. II, strona 8).

Na tle tego ogólnego przygnębienia, straszliwej niepewności, oczekiwania czegoś niewiadomego, „na tle ogólnego zaniku wszelkich ludzkich wartości wspaniała i tak postać generalnego kwatermistrza urastała do gigantycznych rozmiarów“.

— Jeden człowiek wysokiej marki u nas, po Batorym i Piłsudskim, to Kocmołuchowicz — a do tego jest jeszcze tajemniczy — mówi urzędnik M. S. Z., młody książe Scampi. „Umiejętność bycia w dzisiejszych czasach tajemniczym, uważam za sztukę najwyższą, za podstawę do nieobliczalnych możliwości. Naturalnie o ile tajemniczem będzie jakieś przedwcześnie zdegenerowane artyściątko, nie będzie w tem nic dziwnego. Ale stojąc w centrum żyrandolu, w ognisku wszystkich sił, będąc faktycznie tajnem rzeczywistem słońcem całej tej ciemnej sprawy, jaką jest historja ostatnich lat naszego kraju i to na pozornie skromnem stanowisku generalnego kwatermistrza armji, być prześwietlanym przez najtęższe reflektory krajowe i zagraniczne i być mimo to w tym stopniu tajemniczym — to jest klasa. Coraz większy rozdźwięk z tem stanowią jego manjery: jest wprost słodki“ (I — 140).

A stary przyjaciel Kocmołuchowicza, baron Kapen, polecając mu przed śmiercią swego syna Genezypa, pisze do niego (I. — 197):

„Umiałeś pozostać tajemnicą nawet dla mnie. Straszliwe napięcia samotności umiesz wytrzymać, Erazmku — cześć Ci za to i chwała, a po trzykroć biada Twemu narodowi, bo nigdy niewiadomo, co w następnej minucie zrobisz: Ty, a za Tobą Twoja banda najmorowszych obecnie ludzi na ziemi — *You damned xent-moment-man...*“

I tu autor dodaje:

„tak pisał baron Kapen do Erazmka Kocmołucha, byłego stajennego chłopca hrabiów Chraposkrzeckich... A jednocześnie strasznem było... dla „starego Zypa“ widzieć naród w takim stanie, że mógł się opierać on cały jak jeden blok miernoty o jednego, jedynego człowieka. A gdyby tak zapalenie ślepej kiszki, lub szkarlatyna? I co wtedy? Już raz było przecie tak z Piłsudskim i ocaliła nas właśnie ta równowaga miernot. Liczono na to i teraz“, (t. I, str. 198).

Na czem polegała właściwie wielkość generała — kwatermistrza? I czy był on istotnie wielki? Pod tym względem zdania były podzielone nawet u tych, którzy mu posłusznie ulegali. Jedno było niewątpliwe: Kocmołuchowicz umiał milczeć i umiał czekać! „W tem była połowa jego siły“:

„Umiejętność zaś ukrywania swego zdania w najbardziej pozornie otwartych rozmowach była w nim doprowadzona do niebywałej dojrzałości. Wytworzoną przez Syndykat Narodowego Zbawienia pseudoorganizację zużyć chciał w odpowiedniej chwili dla siebie i swoich tajemniczych dla niego samego celów. Marzył już o jakiemś piekielnem wyjściu przed żółtych zwycięzców z szarą, krystaliczną miazgą swojej zmechanizowanej armji, on, jedyny dziś wielki strateg (śmiał się z tych chińskich nowalij w kułak, oficjalnie uznając je za groźne, by nie osłabiać swego prestiżu) pan z chamów, od Egiptu począwszy (bo czyż była kiedy na świecie podobna awantura, jak ta, i czy był taki właśnie człowiek, jak on — *mysterions man on a mysterions place*) nędzny kwatermistrz generalny. Ale na dnie jego wesołej, jak pies spuszczony z łańcucha duszy, drzemało zawsze N i e o c z e k i w a n e — coś tak piekielnego, że myśleć o tem bał się nawet w chwilach męczących, syntetycznych jasnowidzeń... Faszyzm, czy bolszewizm i czy on sam nie jest właściwie blagier albo warjat — to były najgorsze z kwatermistrzowskich dylematów... Gdyby mógł go widzieć cały kraj: tak nagle z b i o r o w o zobaczyć, możeby się wzdrygnął cały dreszczem zgrozy i strząsnął go z siebie, jak potwornego polipa na samo dno piekieł, gdzie męczą się pewno różni przywódcy ludzkości. Gdyby on sam mógł widzieć swoją własną opinję ogólną, szatkowaną w jakimś szatańskim nieskończoności rachunku— ha, może spadłby wtedy ze swego zgrzanego już nieco „rumaka, nieobliczalności w jakąś najzwyklejszą, rynsztokową kolejkę przeciętnego stupajki. Na szczęście ciemno było dokoła. (T. I, str. 199 i nast.)

Nie tylko swą nieodgadnioną tajemniczością pociąga Kocmołuchowicz szary tłum polski. Lubi też mocne słowa, lapidarne, niezawsze przyzwoite powiedzenia. I to podoba się tłumowi. „Jak tu robić kryształy z gówna — mawiał czasem do siebie... i zamyślał się głęboko, bezprzedmiotowo“ (I.—177). A kiedyindziej: „Zbrudził człowiek świat, narobił świństwa pod siebie i w tem siedzi — za kark go jak szczeniaka, w mordę i rzucić potem na nowo na tło wszechświatowej przestrzeni“ (II. — 95). Kiedyindziej znów mówi do „junkrów“:

— A pamiętajcie chłopcy, że ja was kocham, was jednych — bo całą rodzinę moją, żonę i córeczkę, to ja mam w zadzie mego „Siwka“ (II—86).

Ten zad biednego „Siwka“ była była to zaiste przedziwna rupieciarnia — mówi autor gdzieindziej (II — 95). Zresztą ten pogardliwy ton w stosunku do własnej rodziny nie jest bynajmniej szczery. Przeciwnie, Kocmołuchowicz jest na swój sposób dobrym ojcem i mężem. Natomiast „ani naród, ani społeczeństwo nieobchodzą go jako takie: to jest zbiorowiska c z u j ą c y c h i s t o t, nie obchodziło go wcale. Nie miał rezonansu dla masowych stanów psychicznych.“

„Od środka odczuwał parę osób: 1) córkę, 2) żonę, 3) „tę małpę“ (jak mówiła generałowa o NIEJ,[1]) no i 4) suczkę, „Bobcię“. Reszta to były cyfry. Ale widział tę „resztę“ ludzi jak nikt, na zimno rozłożonych, jak na sekcji: od najbliższych wielbieli aż do ostatniego żołnierza, którego zawsze za najczulszy pępek uchwycić umiał. I prędzejby się rozleciał na drobne kawałki, ażeby mógł sam się co do tego zanalizować, czy miał jakie narodowe uczucia, czy społeczne instynkty. Przeznaczenie zwaliło go na szczyt tej piramidy i musiał wytrwać tam do końca... W istocie kwatermistrz był urodzonym kondotjerem — tu leżało jądro rzeczy — a przytem — strategiem — artystą. To była istotna twórczość, którą on jako „mąż stanu“ lekceważył. Działalność społeczna stanowiła tylko tło dla wielkich koncepcyj bojowych — ale w świadomości swej uważał się za wielkiego proroka całej ludzkości, proroka bez idei“. (II — 99. i nast.).

Na żołnierzy ma wpływ osobisty iście magiczny:

„Ta chwila, w której Zypcio zobaczył Generał-Kwatermistrza, wchodzącego do sali jadalnej Szkoły, to była naprawdę chwila... Ugięły się pod nim kolana, ale oczy, z jastrzębią żarłocznością, wpiły się w oczy tamtego“... (II—79, nast.).

Potem następują wrażenia z obiadu, spożytego wspólnie z wodzem, skreślone z charakterystycznym realizmem:

„Cała ceremonja: „baczność“ „zerwanie się „junkrów“ od stołów (programowa niespodzianka), „spocznij“, zasiąście wodza do podłej ryby z jarzynami (rzygać mu się tem chciało po dobrem śniadaniu w „Astorji“) jego „ćmiak“ (umiał ćmiakać, kiedy, chciał dla zjednania sobie popularności — na pewnej już wysokości drobne błędy robią wcale niezłe wra-

[1]) Mowa o kochance kwatermistrza, Percy Zwierzątkowskiej.

żenie) — wszystko to przeżył Genezyp nie jako ten: jakieś katatonicze bydlę przeżyło to na martwo, na nic było. Ocknął się, gdy junkrowie, i on sam, przechodzili „wolno“, nie w szyku, do szwadronowych lokali. Przechodził tuż mimo NIEGO ze ściśniętem sercem — wszystko mu opadało, było za luźne, podwiązki, gacie, spodnie, coś go swędziało, czuł się w rozkładzie, jakby nie był tym, który miał prawo kochać Wodza. (II—81.).

A wódz za chwilę wypowie jedną ze swych charakterystycznych mów do oficerów. Pragnie pozyskać sobie „junkrów“ przed walną rozprawą, jaką postanowił sprowokować przeciw oddanemu sobie dotychczas Syndykatowi Zbawienia, w którym widzi zarodki buntu:

— Panowie! Musimy zrobić próbę. Wiem, co mówię i do kogo. Agenci moi prowokują Syndykat już od dwóch tygodni. Nikt nic nie wie i ja też. Dosyć tych ciuciuduszek. Ja nie mogę jechać na Centaurze — ja muszę mieć pod sobą konia sztandardowego. Naród w sumie może być normalnym słoniem — byleby chciał siły. Zamiast naszej „*Wille zur Ohneacht*“ stawiam hasło: „wygiąć się aż do pęknięcia“, bo lepiej pęknąć niźli gnić“. nawet jeśli to pęknięcie znaczyć będzie międzyplanetarnie tyle, coby ktoś tam sobie pierdnął. Panowie: taki los parszywy każdego stworzenia, że sobie samemu wystarczyć nie może. Spodziewam się, że wobec mojej notorycznej tajemniczości — mam odwagę o tem mówić — tem różnię się od wszystkich innych działaczy ziemskich...— i bliskości wojsk Niebieskiego Państwa, zdenerwowanie strony, która uwzięła się, aby być stroną wrogą wobec mnie i armji, jest wielkie i prowokacja się uda. Będziemy wiedzieli wtedy jasno, jakie są procentowe rozłożenia w kraju. Parę transportów jest koniecznych. Ale każdy facet, który padnie tu, z pomiędzy was, czy tam, to cyfra w moim notatniku tajemnym, o ile go wogóle mam. Cha cha cha — zalał się weselnym, chamskim, radosnym jak ryk rozkoszy bydlęcia, śmiechem.— Ja papierków nie lubię, chyba klozetowe — *post factum* — niech mnie historja podetrze i dowie się *qu'est ce que j'avais dans le cul*, czy *dans le ventre même*. Mój notatnik to mit panowie — ilu chińskich szpicli za nim goni, a żaden go nawet nie wąchał zdaleka. Każdy z was to jeszcze jeden parametr we wspaniałem równaniu, które układa się tu! — Uderzył się bezczelnie w łeb — słychać było to uderzenie na całą salę. Ryk rozkiełznanego zachwytu i cicha, gwałtowna chęć śmierci dla i za tego koniokradowego, zgeneralonego dojeżdżacza, z domieszką 80-ciu procent Aleksandra Macedońskiego i 10-ciu procent księcia de Lauzun, wypełniła salę“. (II—85 i nast.).

W godzinę potem wódz pędzi już ekspresem do szkoły artylerji konnej w Kocmyrzowie, w nocy po 2-giej ma Ją, rozkoszną, perwersną Percy, (poświęcającą mu swe ciało „dla dobra ojczyzny“), wnet potem tłumi krwawo w walce ulicznej sprowokowany przez siebie bunt Syndykatu Zbawienia Narodowego i znów jest jedynym władcą państwa i gotuje się do ostatniej krwawej rozprawy z chińską nawałą.

Horoskopy jednak są niedobre. W kraju wszyscy wprawdzie „ogarnięci byli ideą „przedmurza“, ale właśnie nie na tle narodowem, tylko rasowem: czuli się białymi i tyle — w przeciwstawieniu do żółtych, jako do innego gatunku zwierząt. Tak samo możnaby zorganizować walkę ze szczurami, czy karaluchami — ściśle narodowych elementów w tym ruchu nie mogli się doszukać najbardziej nawet zawzięci nacjonaliści wśród socjologów“ (II—263).

Zapału więc do przyszłej walki ani śladu; pozatem brak jakichkolwiek informacyj o ruchach wroga, bo brak porządnego wywiadu. „Porządnych szpiegów można mieć tylko, o ile uczucia narodowe są jeszcze w pełni rozwoju, albo jeśli idzie o propagandę społeczną—za pieniądze nigdy“ (*ibid.*). Po kraju szerzy się niepokojąco jakaś tajemnicza sekta buddyjska wyznawców Marti Binga i jego wysłannika — Dżewaniego. Dżewani ma wyznawców we wszystkich sferach, ma ich i w sztabie Kocmołuchowicza, a wszystko to razem wygląda na misterną sieć szpiegowską. Napróżno Kocmołuchowicz rozkazem dziennym usiłuje sekciarzy nie dopuścić do wojska. Tymczasem Chińczycy posuwają się naprzód. Nadchodzi chwila, w której genjalny Kocmołuchowicz nareszcie dokonać musi swego epokowego czynu. Wyjeżdża na front, zabierając ze sobą ukochaną Percy.

Przygotowania do bitwy, obustronny ogień artyleryjski, objazd wojsk, wspaniałe przemówienia do oddziałów, długi szereg rozkazów, telefonowalnych osobiście do szefów korpusów według planu operacyjnego, który wódz miał niespisany w głowie, oto treść pierwszego dnia przed bitwą, Nazajutrz o 3 popołudniu nastąpić miał atak generalny.

Aż oto o świcie w dniu bitwy, gdy wódz na koniu ze słuchawką telefonu w ręku stał przed sztabem wśród ogólnej ciszy:

„Nagle jakaś czarna błyskawica rozdarła mu normalną (tą genjalną) ciemność mózgów. Naodwrót, wszystko naodwrót! Nie będzie żadnej bitwy. On poświęci swoją sławę dla dobra tych biednych żołnierzy, biednego kraju i reszty biednej Europy, Chińczycy i tak i tak muszą zalać wszystko. Pocóż mają ginąć te tysiące? Za co? Za ambicję jego i jego sztabu? Ambicję pięknej śmierci? Straszna wątpliwość przeniknęła przez jego precyzyjny a ciemny łeb umęczonego sobą tytana“. (II. — 323 i nast.)

Poczem telefonuje do wszystkich oddziałów niespodziany rozkaz poddania się Chińczykom i niezwłocznego zbratania się z wojskami żółtej koalicji. Zaczem krótka „zwycięska“ walka z trzema pułkami kawalerji, które odmówiły poddania się a reszta wojska „bratała się“. „Miał wrażenie, że dokonał potwornego wprost poświęcenia własnej ambicji na rzecz ludzkości, większego, niż Napoleon po Waterloo“. (II—326). Wódz sam z ukochaną Percy i z adjutantem jedzie do sztabu chińskiego, gdzie jest przyjęty z wielkiemi honorami i — skazany na ścięcie — dla uniknięcia dalszych niespodzianek...

Powieść kończy się sceną mężnej śmierci Kocmołuchowicza oraz wejściem wojsk chińskich do stolicy.

*

Spróbowałem powyżej przy pomocy — przydługich przyznaję — cytat wyłuskać wątek *sui generis* przepowiedni historycznej z niesamowitej powieści Witkiewicza. Wobec pogmatwanej akcji powieści, wobec mnóstwa dygresyj rozmaitego rodzaju — funkcja moja była czemś w rodzaju mozolnego odszukiwania zarosłej ścieżki w gąszczach nieprzebytego lasu. Czy ścieżkę tę znalazłem? Niewiem; w każdym razie przyznaję, że powyższe cytaty nie dają należytego pojęcia o strukturze i jakości powieści, choćby dlatego, że wiele charakterystycznych określeń należało opuścić — przez wzgląd na — *savoir vivre* czytelników „Myśli“. To jednak, co wyłania się w sposób niewątpliwy z powieści — ta straszliwa parodja przyszłości narodu z parodją „silnego człowieka“ na czele — jest czemś tak wstrząsającem, że czytelnik po przebrnięciu przez grząskie moczary tej lektury ma wspomnie jakby jakiegość olbrzymiego w swej potworności widziadła unoszącego się nad bagniskiem i pozostającego nazawsze w pamięci.

Jeżeli to widmo jest refleksem naszej współczesnej rzeczywistości — tem gorzej dla nas.

Oto dlaczego nie sądzę, żeby „Myśl Narodowa“ mogła przemilczeć tę „okropną“ książkę.

L. JÓZEFOWICZ

NA WIDOWNI

Przed laty ośmiuset i przed laty jedenastu. — Polska wieczna i Polska chwili dzisiejszej. — Rocznica „cudu Wisły".

PRZENIEŚMY się na chwilę myślą w przeszłość daleką, wstecz o lat zgórą osiemset. W Polsce odniedawna dopiero dzierży władzę młodzieńczy jeszcze podówczas Bolesław Krzywousty. Czasy są niespokojne, wojenne. Właśnie pogańscy Pomorzanie najechali Mazowsze, paląc, niszcząc, uprowadzając jeńców i łupy. Zbliża się dzień rozstrzygającej bitwy z napastnikiem. Wtedy — jak pisał w „Kronice" swojej (ks. II, rozdz. 49) Marcin Gallus —

„starosta ówczesny Mazowsza, imieniem Magnus, nagle ze swą garstką Mazurów, małą liczebnie lecz męstwem starczącą za wielość, postanowił bój stoczyć śmiertelny, z mnogą i niezliczoną w porównaniu czeredą pogan, przyczem wszechmocność swą Bóg dobroczynny okazał...

Przyczynił się do tego udziałem właściwym pasterz tamecznej krainy, Szymon, który pragnąc owieczki swe z zębów wilczych wydrzeć, postępował... z infułą na głowie i w aparat kościelny przyodziany, a czegoby nie dało się dokonać bronią materjalną, usiłował dostąpić bronią duchowną"...

A oto znowu wspomnienie bardzo bliskie, z przed lat zaledwie jedenastu: urywek z kroniki czasów dzisiejszych, jaką w okresie wojny ostatniej stały się codzienne komunikaty sztabu generalnego o położeniu na froncie. W rozstrzygającej dacie 15 sierpnia 1920 roku — jak opisywał ogłoszony nazajutrz biuletyn urzędowy —

„Gwałtowne walki... miały miejsce w ciągu całego dnia... w rejonie Radzymina oraz na odcinku południowym przyczółka, bronionym przez dzielne wojska poznańskie... W rezultacie nietylko, że zdołano utrzymać w całości nakazaną linję obronną, lecz w poszczególnych punktach samorzutnie posunięto się nawet naprzód.. Ze szczególnem uznaniem należy podkreślić bohaterską śmierć księdza Ignacego Skorupki, kapelana z 8-ej dywizji piechoty, który w stule i z krzyżem w ręku przodował atakującym oddziałom"...

Za dni Krzywoustego „starosta ówczesny Mazowsza, imieniem Magnus", nie stawiał jeszcze swojej drużynie za cel: obronę Warszawy — Warszawa wcale w tym czasie nie istniała. Ale taksamo walki toczyły się już gdzieś nad Wisłą i nad Wkrą, a rycerze Bolesławowi taksamo szli na śmierć w obronie chrześcijaństwa i cywilizacji, odpierając napór pogańskich najeźdźców. I czyż owe myśli i uczucia, które w duszach tych średniowiecznych wojowników budzić musiała, widoczna zdaleka podczas boju, w uroczyste, liturgiczne szaty odziana postać biskupa, mogły były — w najistotniejszej treści swojej — zasadniczo odmienne być od uczuć współczesnych polskich żołnierzy, kiedy pośród posuwającej się naprzód tyraljery niespodziewanie ujrzeli komżę białą i wysoko podniesiony krzyż księdza Skorupki?... Czyż ten sam symbol nie uświadomił im tej samej Prawdy, w imię której walczyli i ginęli?

— — — — — — — — — — — —

Pośród sfer inteligenckich rozpowszechniony jest przesąd, jakoby „naród" był czemś w rodzaju pomysłu ideologicznego, który miałby powstać niedawno, którego właściwy rodowód sięgać miałby zaledwie epoki Wielkiej Rewolucji Francuskiej, wojen napoleońskich, romantyzmu. Ludzie skłonni są ulegać złudzeniu, że jeżeli nie było pewnych nazw, nie posługiwano się pewnemi definicjami i formułami, nie istniała również i rzecz sama. Jakgdyby w najgłębszych, najpotężniejszych instynktach duszy ludzkiej mogły tak łatwo dokonywać się tak olbrzymie, tak całkowite przeobrażenia!...

Oczywiście, sposób ujęcia pewnych faktów psychicznych, sposób ich rozumienia, bywa w różnych czasach i warunkach bardzo odmienny: te same rzeczy rozmaicie są tłumaczone i uzasadniane Miłość rodzicielska np. w rozmaitych momentach życia, wobec przeciwnych nieraz całkiem potrzeb i okoliczności, nabiera coraz to innej barwy uczuciowej, z innym łączy się zasobem pojęć, nakłada inne moralne obowiązki. Inaczej kocha się niemowlęta kilkomiesięczne, inaczej dojrzewającego, czy dojrzałego człowieka. Trudno jednak nie przyjmować do wiadomomości faktu, że ci sami rodzice otaczają miłością to samo dziecko, choć w ciągu lat zmieniają się i oni i ono.

Zapominanie o tej prostej prawdzie — kiedy chodzi o rozumienie ciągłości życia narodowego — prowadzi do najfatalniejszych błędów i najbardziej szkodliwych nieporozumień. Nie pozwala zżyć się z przeszłością, czyni z niej coś dalekiego, obojętnego, obcego: wielkie postacie historyczne dawnych wieków stają się dla nas martwe, tracą swój wpływ wychowawczy i znaczenie, jeżeli nie odczuwamy instynktownie, że ideały ich — to ideały nasze, że poprzez odległe stulecia utrzymuje się między pokoleniami ścisła i żywa solidarność tych samych dążeń, tych samych namiętności, tych samych umiłowań.

Zapominanie o tej prostej prawdzie — przy ujmowaniu aktualnych spraw życia narodowego — wiedzie też do najgorszej z pomyłek, jaką jest przekonanie, że stanowisko narodowe — to „ideologja" jakaś, którą można dowolnie przyjmować lub odrzucać, nie odpadając równocześnie poza linję dążeń dziejowych zbiorowości, do której się należy, albo że uda się mu skutecznie przeciwstawić jakiekolwiek sztuczne, naprędce wymędrkowane hasła i doktryny.

Szczególnie wszakże ważna jest pamięć o tej prawdzie w okresie, kiedy — jak dzisiaj u nas — chwila bieżąca nie wiele przynosi okazyj do radości i nie dostarcza zbyt obfitego pokarmu poczuciu narodowej dumy. Wobec małoduszności, tchórzostwa, zamętu w dziedzinie najprostszych pojęć moralnych, planowo i z widocznym skutkiem wytwarzanego — częściej, niż kiedykolwiek, myśl musi zwracać się od Polski dnia dzisiejszego do Polski wiecznej, po drogowskaz i ku pokrzepieniu.

W tych dniach właśnie obchodzimy jedenastą rocznicę „cudu", kiedy nagle, w ostatecznej, śmiertelnej potrzebie, owa Polska wieczna objawiła się w całym swoim blasku, wydobywając z głębi dusz zwyczajnych, pospolitych ludzi, dla nich samych nieznane zupełnie, niepodejrzewane nawet przez nich skarby bohaterstwa i poświęcenia.

A czasy znowu idą trudne, wielkie stawiające wymagania.

JAN REMBIELIŃSKI

ZE ŚWIATA

PO PLEBISCYCIE W NIEMCZECH

PLEBISCYT niedzielny zakończył się. Dziewięć stronnictw, wzywających do rozwiązania Sejmu Pruskiego, osiągnęły 9793000 głosów, — na ogólną liczbę 26553000 uprawnionych do głosowania, prawie o trzy miljony mniej, niż podczas ostatnich wyborów do Parlamentu.

Do ostatniej chwili w prasie europejskiej panowała niepewność co do wyniku tego głosowania. Optymistycznie naogół usposobiony *„Sunday Chronicle"* liczył, że zwolennikom plebiscytu zabraknie około miljona głosów.

A więc trjumf, — trjumf, „zdrowego rozsądku", „demokracji", „pokoju europejskiego", tych wszystkich i innych jeszcze fetyszów współczesnej polityki. Tytułów tych pełno w prasie niemieckiej obozu antyplebiscytowego. Wystarczy jednak doczytać do końca parę artykułów, ażeby się przekonać, że pod szumnym tytułem kryje się głęboka troska nietylko o przebieg majowych wyborów roku przyszłego, lecz i troska o przyszłość najbliższą.

Inaczej naturalnie będzie z temi pismami, dla których „zwycięstwo" niedzielne jest tylko nowym pretekstem do uzasadnienia ofiar ze strony Francji na rzecz Niemiec. *„The Round Table"* dowodzi zupełnie serjo, że jedyną drogą do bezpieczeństwa jest dla Francji zejść ze stanowiska przewagi w Europie na stanowisko równości. Jak miałaby Francja dojść do tej równości, dowiedział się premjer Laval w dniu 20 lipca na Konferencji Londyńskiej, kiedy zaproponowano mu, ażeby Francja zgodziła się ponosić w równej części ryzyko kredytów, udzielonych Niemcom przez kapitalistów amerykańskich i angielskich.

Póki kredyty te uważano za dobry interes, nie proponowano udziału w nich ani Francji ani nikomu innemu — wówczas był to zwykły *business*, teraz, kiedy *business* stał się wątpliwy, dzielenie ryzyka stało się naraz obowiązkiem solidarności gospodarczej, wyrazem dbałości o dobro gospodarcze świata.

To też niedługo usłyszymy o rachunkach do pokrycia za niemiecką pokojowość i niemiecki demokratyzm, okazany podczas plebiscytu, o rachunkach za utrzymanie tych cech na przyszłość, — oczywiście z kieszeni francuskiej, broń Boże, nie po to, ażeby zapewnić z tej kieszeni regularne opłacanie przez Niemców należności za długi w Ameryce i Anglji.

W sierpniu roku 1922, pisząc o polityce angielskiej w stosunku do Francji, nie mógł się powstrzymać Poincaré od uwagi, że Francji odmawia się, nieomal, prawa posiadanie własnej polityki zagranicznej.

Od tego czasu nie wiele się zmieniło. Ostatnia konferencja Londyńska zaczęła się od mowy Mac Donalda, który uważał za swój najważniejszy obowiązek oświadczyć, że stan obecny gospodarstwa narodowego Niemiec nie jest wynikiem jakiejś winy niemieckiej, czy też niewłaściwej polityki gospodarczej rządu Rzeszy.

A mówił to szef rządu angielskiego w tym samym czasie, kiedy cały szereg pism specjalnych stwierdził, że Rzesza żyje nad stan; że w ciągu ostatnich dwu i pół lat kraje i gminy Rzeszy zaciągnęły 34 miljardy franków długu, że budżet Rzeszy został zwiększony od 1913 r., — pomimo zmniejszenia terytorjum — licząc wszystkie wydatki publiczne z 7,250 miljardów marek do 14,478 w roku 1925/6 i do 22 miljardów w roku 1931/2.

Same ubezpieczenia społeczne podniesiono w tym czasie z 1,440 miljardów do 8,165, a na utrzymanie armji żebrzące o pomoc Francji, biedne, rozbrojone Niemcy wydały od roku 1928 do chwili obecnej o dziesięć miljardów franków więcej, — niż „od stóp do głowy uzbrojona" Francja.

Pomimo tych wszystkich dowodów, że Niemcy żyją nad stan, że pozwalają sobie na wydatki znacznie wyższe, niż zamożna Francja, wyniki plebiscytu niedzielnego okażą się „zwycięstwem" dla gabinetu Brueninga i dla tych wszystkich jego inspiratorów i sojuszników po obu stronach Atlantyku, którym nie daje spocząć prymat Francji w Europie, jej zasobność i ład.

Dla polityki dalszego wyłudzania ustępstw od Francji będzie to niewątpliwy sukces. Francję i jej sojuszników czeka nowy atak na obecny porządek w Europie atak przeciwko jedynej rękojmi pokoju, jaką daje Traktat Wersalski.

W polityce wewnętrznej Niemiec znaczenie plebiscytu jest zgoła inne.

Zbyt daleko zaszła tam gra katastrofą gospodarczą, „kryzysem społecznym", niemieckiemi nastrojami rewizjonistycznemi.

Duchów, tak długo wywoływanych, zakląć z powrotem nie przyjdzie łatwo. Pomimo przysłowionej dyscypliny społeczeństwa niemieckiego, pomimo zamożności, pracowitości i oszczędności, — czynnych aż do chwili kryzysu, rzeczy zaszły już zbyt daleko, ażeby można było dalej dowolnie kierować raz rozbudzonym ruchem.

Zaufanie do stałości gospodarczej Niemiec jest zachwiane zarówno w kraju jak zagranicą: zaczyna się to odbijać już na sytuacji gospodarczej Anglji, nietylko samych Niemiec,

Prawda, że okazali się hitlerowcy w mniejszości, lecz same liczby nie stanowią o wyniku w y p a d k ó w, tam gdzie różnica siły dynamicznej tak bardzo rzuca się w oczy, gdzie owa mniejszość jest jednocześnie n a j p e ł n i e j s z y m w y r a z i c i e l e m t y c h d ą ż e ń, k t ó r e ł ą c z ą w s z y s t k i c h o b y w a t e l i R z e s z y, zarówno tych, co rzucili swe głosy za rozwiązaniem Sejmu Pruskiego, jak i tych, co manifestowali swój sprzeciw, pozostając w domu. Rewizjonizm niemiecki łączy oba te obozy. Rewizjonizm zapewni hitlerowcom, jako najwymowniejszym jego przedstawicielom, większy wpływ na wypadki, w najbliższej przyszłości.

Zwycięstwo „zdrowego rozsądku i demokracji" zapobiegło niezwłocznemu rozwiązaniu sytuacji w Niemczech w sposób najbardziej drastyczny. Do władzy n a r a z i e nie dochodzi Hitler i jego sojusznicy, lecz Hitler zachowuje swoje znaczenie dla najbliższych wypadków w Niemczech, a urzędowa dyplomacja niemiecka ma możność ratowania na czas jakiś—pozorów, możność operowania argumentami o niemieckiej praworządności, o współpracy Niemiec w odbudowaniu Europy i dążeniu Niemiec do pokoju.

Wynik plebiscytu niedzielnego ułatwia Niemcom pretensje do ulg na terenie międzynarodowym. W życiu wewnętrznem Niemiec jest to dalszy stan tego fermentu, który zatruwa dziś życie Europy a przeszkadza w spokojnej pracy nad odbudową życia gospodarczego całego świata.

S. Z.

NAUKA I LITERATURA

NOWA POWIEŚĆ SZPOTAŃSKIEGO O SZELI I 46 ROKU

Zbyt bolesne, niezabliźnione jeszcze całkiem rany rozkrwawiały ponure wspomnienia roku 1846 i rzezi galicyjskiej, to też nie dziwi nas zbytnio, że rokiem tym, jako tematem literackim, pisarze polscy niechętnie się zajmowali. Poza garścią drobnych utworów poetyckich, wywołanych bezpośrednio wrażeniami chwili (np. Krasińskiego, Słowackiego, Ujejskiego, Pola) słabe było odbicie roku 46 w literaturze, choć w charakterze i przebiegu wydarzeń historycznych kryło się wiele prawdziwego tragizmu, nadającego się szczególnie do dramatycznego ujęcia. [1]) Nawet kiedy w ostatnich czasach zaczęto objawiać żywsze tym tematem zainteresowanie i niektórzy pisarze, jak np. Stasiak, Orkan, Wyspiański, Żeromski odważyli się na próbę poruszenia tej ponurej tragedji dziejowej, to jednak i w ich utworach możemy się doszukać między wierszami pewnych niedomówień, a na ocenie wydarzeń ciąży prawie wszędzie tradycja szlachetnego wyroku, wydanego przez najwyższy trybunał poezji narodowej, a wypowiedzianego ustami autora „Chorału". Dzisiaj atoli, gdy wzajemne winy zostały odpokutowane i wyrównane, gdy już wszystko dawno przebaczono i zapomniano, przyszedł czas na powiedzenie choćby najsurowszej prawdy oraz na przystąpienie do beznamiętnej, rzeczowej, ściśle objektywnej oceny tragicznych wydarzeń.

Pomijając teneencyjną próbę apologji najgłośniejszego bohatera rabacji — Szeli, dokonaną w poemacie (p. t. „Słowo o J. Szeli) jawnie komunizującego „awangardzisty" Br. Jasieńskiego, dopiero obecnie, w najświeższej powieści St. Szpotańskiego p. t. „Bez ziemi i bez nieba" (Poznań 1931. Nakład księg. św. Wojciecha), doczekaliśmy się takiego nowego, ściśle rzeczowego ujęcia momentu dziejowego oraz objektywnej charakterystyki głównych aktorów tej ponurej tragedji narodowej. St. Szpotański, autor obszernej monografji o Mickiewiczu i jego epoce oraz szeregu ciekawych powieści historycznych („Synowie klęski", „Odloty" „Prometeusze") okazał się pierwszorzędnym znawcą czasów po powstaniu listopadowem (1831 — 48 — 63), życia wielkiej emigracji, pracy emisarskiej i przygotowań do nowych zbrojnych wystąpień. W „Bez ziemi i bez nieba" nie wychodzi poza granice specjalnie przez siebie ulubionej i znanej epoki, wybierając sobie tym razem na temat powieści dzieje smutnej pamięci „krwawego roku" — 1846, ujęte w istotnie nowy, oryginalny sposób. Jednakowoż Szpotańskiemu nie chodziło tutaj o dokładne zobrazowanie całokształtu wydarzeń historycznych, lecz jedynie o zgłębienie psychologji głównego bohatera rzezi, pretendującego do godności przywódcy mas, i dyktatora chłopskiego, Jakóba Szeli ze Smarzowej. Stąd dzieje rabacji zostały w powieści tylko zgrubsza naszkicowane, jako tło uwypuklające postać i czyny Szeli, szybki wzrost jego „wielkości" i jeszcze szybszy upadek. Zaczyna się powieść od opisu napadu na Siedliska, posiadłość znienawidzonych przez Szelę Boguszów, u których właśnie odbywa się zjazd okolicznej szlachty, mającej radzić nad sprawami kraju i przygotowywanem na najbliższy czas powstaniem. Napad ten był pierwszym występem Szeli, jako wodza rezunów, a jego pomyślny wynik stał się podwaliną parodniowego panowania chłopskiego dyktatora, który obrawszy sobie zamek siedliski za rezydencję, urządzał stąd zbójeckie wyprawy na sąsiednie wsie i miasteczka. Epizod siedliski został przez Szpotańskiego dokładniej przedstawiony jedynie ze względu na jego znaczenie w karjerze Szeli, dalsze wyprawy, już przeważnie nieudałe, na Lipki, Łączki, Brzostek opisane są znacznie pobieżniej, a rozszerzanie się rabacji w powiatach tarnowskim i bocheńskim jest zaledwie wspomniane. Wynika to, jak już wspomnieliśmy, z chęci skoncentrowania uwagi na charakterystyce Szeli, jako jedynej osobistości, wybijającej się ponad szarą masę ciemnego chłopstwa, sprowokowanego do zbrodni przez austrjackich urzędników, obawiających się wybuchu powstania w Galicji. Charakterystyka ta ujęta jest rzeczywiście żywo, ciekawie i oryginalnie, z wyzyskaniem skąpych, przytem nieraz chaotycznych relacyj współczesnych pamiętnikarzy, którzy właśnie w tej sprzeczności swych sądów przekazali nam nierozwiązaną zagadkę psychologji Szeli, według jednych pospolitego zbrodniarza, według drugich obłąkanego ideami naiwnego mistycyzmu społecznego sekciarza. Dalekim będąc od apologetyzmu Br. Jasieńskiego, w swem dążeniu do bezwzględnej objektywności zachowuje Szpotański tę opartą na źródłach dwoistość w ocenie moralnej Szeli. Szela Szpotańskiego — to chłop ciemny i mściwy, ale równocześnie sprytny i energiczny, krwawy okrutnik i niszczyciel, oszczędzający jednak kobiety i „dzieła sztuki"; zawdzięczając swą potęgę masom chłopskim, porwanym głoszonemi przez niego hasłami: zniesienia pańszczyźnianej niewoli i podziału zagrabionych majątków szlacheckich, okazuje największą bezwzględność w postępowaniu z podległem mu chłopstwem. Powodzenie zawdzięcza przeważnie grozie swego imienia oraz panice, jaką wzbudza samo pojawienie się jego pijanych, rozbestwionych zbirów. Stawienie oporu przez napadniętych powoduje prawie zawsze cofnięcie się niezorganizowanej bandy. Ogarnięty manją wielkości dąży Szela do władzy, naśladując w naiwny sposób ceremonjał i postępowanie władców udzielnych. Zbytnia pewność siebie, zaślepienie i wrodzona tępota stają się wkrótce przyczyną jego upadku. Chłopstwo, które go ku władzy wyniosło, pierwsze się od niego odwraca. Tak to po łatwym początku — podobnie jak u Pankracego z „Nieboskiej komedji" — dopóki szło o proces mechanicznego niszczenia i dezorganizowania starego porządku, utyka Szela wkrótce, gdy trzeba było przejść do organizowania na gruzach i trupach nowej zasady życia. W dziejach Szeli zawarł Szpotański — zdaje się zgoła mimowiednie — satyrę na naiwną taktykę i smutny koniec wszelkich improwizowanych rządów dyktatorskich.

Trzeba przyznać, że autor „Bez ziemi..." uchwycił tu znakomicie psychologję chłopskiego dyktatora, jego stosunek do Austrjaków, szlachty i włościan, że w bohaterze swej powieści stworzył postać żywą, ciekawą; oświetloną z nowego, oryginalnego punktu widzenia, choć w samej charakterystyce Szeli nie zostały konsekwentnie wyzyskane wszelkie możliwości przekazane przez źródła. Również służąca za tło dla tej postaci centralnej chwila dziejowa została oddana plastycznie, w barwnych opisach i żywych scenach rodzajowych, w wiernem odtworzeniu licznych momentów historyczno-obyczajowych (np stosunek szlachty do chłopów i naodwrót, ciemnota ludu, stosunek rządu austrjackiego do Polaków w Galicji, nastrój umysłów i tp.), aczkolwiek w niektórych szczegółach (np. całe panowanie Szeli na zamku w Siedliskach) fantazja autora została pomieszana z prawdą historyczną.

Jednakowoż niezależnie od tych drobnych usterek „Bez ziemi i bez nieba" jest powieścią zajmującą już ze względu na swój niezwykły temat; przytem napisaną z rzetelnym talentem narratorskim, jak wszystkie powieści historyczne St. Szpotańskiego.

RAJMUND BERGEL

[1]) Pierwsze w tym kierunku próby mamy we fragmentach dramatu o 46 r. Zyg. Krasińskiego oraz w dramacie A. Koźmiana.

RUCH WYDAWNICZY

Jakby miano w pamięci Horacjuszowe *nonum prematur in annum*. Dopiero w dziesiątym roku od zakończenia wojny światowej zaczęły się pojawiać większe powieści, na tle wojny tej osnute. Po głośnej książce Remarque'a „Na Zachodzie bez zmian" wziętość na szerokim świecie zdobył

sobie kapitalny „Szwejk" Jarosława Haszka (nie Haseka, jak go piszą i deklinują różni ludziska, nawet krytycy, nie mający pojęcia o języku czeskim) i Arnolda Zweiga „Spór o sierżanta Griszę". Ostatniemi czasy (nakładem „Roju") pojawiło się w przekładach polskich więcej takich książek o wojnie. Wśród nich godna jest uwagi — ze względu na wartość przekładu, pióra Zbigniewa Grabowskiego — powieść Hemingwaya „Pożegnanie z bronią". Treścią jej jest życie okopowe i pozafrontowe na terenie walk austrjacko-włoskich, znane wielu czytelnikom polskim z autopsji, innym zaś z lektury powieści Kossowskiego lub „Pamiętników" Mussoliniego (wydanych niedawno przez firmę R. Wegnera w Poznaniu); na tle tem snuje się romans wolontarjusza Anglika z angielską sanitarjuszką, oryginalnie ujęty dzięki skojarzeniu erotycznego realizmu z elementem idylicznym i idealistycznym jednocześnie; całość kończy się motywem, przypominającym nieco zakończenie „Szwajcarji" Słowackiego. Przekładowi jedną tylko rzecz zarzucić można, t. j. nieścisłe oddanie pewnych fachowych terminów wojskowych (np. załoga działa, zam. obsługa); pozatem zecerzy bezceremonjalnie poprzekręcali nazwy włoskie w całym tekście, np. z Piawy (Piawe) robiąc Plawę etc.— Węgierska dwutomowa powieść Rodiona Markovitsa „Syberyjski garnizon" z wielu względów przypomina książkę R. Dybowskiego „Siedem lat w Rosji i na Syberji"; jest bowiem, jak ona, pamiętnikiem oficera austrjackiego (a raczej węgierskiego), spędzającego parę lat w rosyjskim obozie jeńców wojennych. To opowiadanie o życiu jenieckiem stanowi najlepszą część powieści; gdyby autor nie zapewniał nas szczerze, że miłuje b. p. monarchję austrjacko-węgierską, moglibyśmy mniemać, że pisze satyrę. Te śmieszne austrjackie przepisy o t. zw. *„Offiziersmaessigkeit"* — przeszczepione niestety poczęści i do naszej armji — a głoszące, że oficerowi nie wolno zbliżyć się serdeczniej do szeregowca (choćby ten był wyższy odeń inteligencją i stopniem wyszkolenia), że niewolno mu zajmować się (choćby w niewoli i o głodzie) żadną pracą zarobkową, a wolno tylko prowadzić spory o starszeństwo, o sposób salutowania i inne „ważne sprawy", oraz wydawać o byle co pojedynki, (które wobec braku oręża u jeńców mają się odbyć dopiero po powrocie do kraju)— wszystko to świadczy, że wiele racji miało przysłowie, głoszące: „głupi, jak oficer austrjacki". Nie wszyscy zresztą są tacy; nie brak między nimi i ludzi światłych, przemocą wojny oderwanych od właściwego warsztatu pracy i teraz poświęcających cały czas na to, by ratować swój rozum, charakter i inteligencję od destruktywnych wpływów otoczenia. W kreśleniu ludzkich sylwetek okazał Markowits rękę pewną i trafną intuicję, natomiast powiązanie faktów sprawiało mu widocznie więcej trudności, to też czytelnik zaczyna się w pewnych momentach nużyć ich natłokiem, czyniącym wrażenie monotonji. Zgoła zaś nie udaje się autorowi kreślenie tła historycznego; są tu różne anachronizmy i fałsze, niezgodne z prawdą dziejową — widać że horyzont jeńca-oficera austrjackiego mocno był ograniczony obrębem drutów kolczastych oraz ciasnotą spraw podwórkowych. Przekład p. Zajączkowskiego dobry, tylko znów mylny w zakresie terminologji wojskowej; t. np. „kornet" była to rosyjska nazwa oficera jazdy, bynajmniej nie odpowiadająca austrjackiemu „kadetowi" (podchorążemu). (J. B.)

•

Grimur Ellidagrimur jest wziętym lekarzem w Rey Kjavik. Jest to człowiek o nieprzeciętnych zaletach charakteru. Ma wszystko, czego od życia wymagać można i czuje się szczęśliwy, mając za towarzyszkę życia kobietę uroczą, dobrą i inteligentną. Vigdisa kocha męża z całego serca — a Grimur świata poza nią nie widzi. Byli małżeństwem niezwykle dobranem, dopóki się nie zjawił towarzysz młodych lat Vigdisy: Pal Einarsson. Jest to ciekawa osobistość, człowiek bardzo inteligentny ale nawskroś zgorzkniały i zły, o sercu przesiąkniętem najczarniejszym pesymizmem, natura burząca, nie znosząca wokoło siebie ludzi zadowolonych lub szczęśliwych. Jest to wcielenie Mefista, żongler słowa i myśli, który potrafi umiejętnie zatruć każdą dobrą myśl, każdy poryw szlachetny. Odtrącony przez Vigdisę ponownie postanawia zemścić się ostatecznie na Grimurze. Daje mu do zrozumienia, że może Vigdisa nie jest tak wierną jakby się wydawało. Grimur nie daje dostępu podejrzliwości do swej duszy, ale zastanawia go fakt, że Vigdisa lubi Pala Einarssona. Lubi go dlatego, że jest dowcipny i umie bawić. Pal działa wytrwale dalej. Na przyjęciu u Grimura oświadcza się, udając pijanego, Vigdisie i domaga się od niej pocałunku. W następstwie tego przyjaciel Grimura wyrzuca go za drzwi — a Grimur zabrania mu wstępu do domu swego. Mimo to Pal odwiedza Vigdisę — i chwilę potem mówi o tem Grimurowi. Vigdisa, nie chcąc martwić męża — nie wspomina o tej wizycie nic. Nowe silniejsze podejrzenie powstaje w duszy Grimura. Pal sączy dalej jad wątpliwości w serce Grimura, usiłując poderwać zaufanie Grimura do siebie jako lekarza, więcej, daje mu do zrozumienia, że Vigdisa go zdradziła.

Kąśliwe uwagi o wyjątkowej śmiertelności pacjentów Grimura, silne podejrzenie, że Vigdisa nie jest tą idealną małżonką rozpętują piekło w sercu Grimura. Dostaje pomieszania zmysłów, kiedy wracając do domu niespodzianie, zastaje Pala u Vigdisy. Teu wślizgnął się przemocą do mieszkania, Vigdisa jest zupełnie niewinna. Dopiero, gdy Pal widzi, jak straszny cios zadał Vigdisie, budzą się w nim refleksje. Autor kończy wezwaniem: Bądźcie dobrzy dla siebie wzajem!

Rzadko zdarza się czytać powieść tak dobrze skonstruowaną, przemyślaną, ciekawą i inteligentną — jaką jest Gunnar Gunnarssona: „Siedm dni ciemności". (Tow. Przyjaciół Książki — Poznań). Żadnych zbytecznych dygresyj, świetne uzasadnienie psychologiczne postaci, styl doskonale dostrojony do atmosfery powieści. Powieść pobudzająca do refleksji, oryginalna w formie i treści, powieść, do której się chętnie powróci, bo daje emocje przeżycia (A.J.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

„Ce que les femmes disent des femmes" (Flammarion édit.). Kogóż nie zaintryguje ten tytuł tak wiele obiecujący na temat złośliwości niewieściej. Powiedźmy jednak odrazu, iż autorka tej książki pani Marja Gasquet jest jeszcze bardziej złośliwa, bo zbiór jej cytatów nie jest bynajmniej zaczerpnięty z rozmów kobiet współczesnych, ale z pism panny de Scudéry, Ninon de Lenclos, pani de Sévigné, de Maintenon etc; etc. Tych dwadzieścia dziewięć niewieścich głosów wypowiada o ich płcizdania pełne zdrowego rozsądku, dowcipne, nie zbyt — o dziwo! surowe. Jeżeli zaś do tych *„maximes"* z XVII-go czy też XVIII-go wieku dorzucimy jeszcze notatki samej autorki, będziemy mieli ciekawą mozajkę kobiecej umysłowości. Brakować jej jednak będzie może spontaniczności, gdyż osądzenie kogoś na papierze nie jest nigdy tem samem, co osądzanie czyjegoś charakteru w „ogniu" dyskusji.

•

W swojej pracy *„Les Grands névropathes. Malades immortels"* (Albin Michel édit.) doktor Cabanès przedstawia nam pewnych sławnych newropatów jak Pascal, Chateaubriand, Byron, Shelley, Baudelaire i Wagner. Z ogromną znajomością tematu, ludzi, wreszcie nauki wykłada nam autor swoją tezę co do problemu, czy genjusz jest właściwie chorobą umysłową. Dr. Cabanès jest zdania, że neuropatja jest wypadkiem, a nie podstawą genjuszu, dlatego zresztą mamy genjusze patologiczne, ale równie dobrze i zupełnie zdrowe. Pracę tę, napisaną w sposób bardzo żywy, a dotyczącą ciekawego tematu i niemniej ciekawych wielkich ludzi, czyta się z ogromnem zainteresowaniem.

NA MARGINESIE

W dziennikach pojawiło się doniesienie:

„P. minister spraw wojskowych wyjechał w poniedziałek zrana do Druskienik na kilkodniowy wypoczynek"

Po Maderze—Sulejówek, po Sulejówku — Pikiliszki, po Pikiliszkach—Druskieniki... Szczęśliwa dyktatura, w której tak wiele czasu poświęcać można beztroskliwemu wypoczywaniu. A przytem wypoczywają wszyscy: od marszałka na urlopie, sejmu na wakacjach, aż do tysięcy zredukowanych urzędników, którzy przed sobą widzą nieustanne, nie kończące się wywczasy, aż do subjektów, dniami całemi przesiadujących bezczynnie w pustych sklepach...

Powszechne, pogodne *dolce far niente*. Raj...

•

Krążą pogłoski, iż jednym z poważniejszych kandydatów na opróżnione stanowisko ministra oświaty był jakoby— redaktor Wojciech Stpiczyński. O kandydaturze wojewody Kostka Biernackiego dotychczas nie wspominano.

•

N***

Patrzcie! co my tu poczniem? Patrzcie przyjaciele.
Otóż to jacy stoją na narodu czele!

WYSOCKI

Powiedz raczej: na wierzchu! Nasz naród, jak lawa
Z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa,
Lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębi!
Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi!

(A. Mickiewicz: „Dziady, III część", sc. VII).

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.